

II.

Z rozpalonego do czerwoności piecyka żelaznego rozchodził się blask, który rozpraszał ciemność wnętrza ziemianki, wkopanej w ziemię, a z grubych pniaków świerka zbudowanej. Wąskie okienko, umieszczone u góry, zasłonięte szczelnie starym żołnierskim lachmanem, nie przepuszczało światła na zewnątrz; przez szpary drzwi wdzierały się ostatnie blaski zachodzącego słońca.

W rogach ziemianki zbudowane były przyczyny żołnierskie, przykryte nieco słomą, dla wyrównania wklęsłości desek, ułożonych na pniakach. Na ścianach wisiało kilka karabinów, starannie wyczyszczonych, kilka odbitek litograficznych z fragmentami bitew, jak również w wachlarz ułożone kartki pocztowe i przeróżne korespondencje żołnierskie. Na posłaniu leżało kilku żołnierzy, którzy na widok wchodzących podnieśli się ociężale, witając się z przybyłym ułanem.

Powoli ziemianka poczęła się zaludniać; wieczorna pora skupiało się życie żołnierskie przy kominku, gdzie rozpatrywano przeżyte chwile i słyszane rzeczy roztrząsano.

Ułan dowiedziawszy się o szczegółach śmierci brata umilkł, odsunął się od ogólnej rozmowy, a pogrążony w myślach, nie zważał na kolegów prowadzących żywą dyskusję.

— Wiem napewno — mówił plutonowy, smukły brunecik o iskrzących, ciemnych oczach — że ostatniego kwietnia z pozycji tych idziemy.

— A skąd wiecie?

— Od adjutanta!

— A tak! — odezwały się potakujące głosy — Jeśli od adjutanta, to coś w tem prawdy!

— A gdzie pójdziemy? — pytali ciekawsi.

— Gdzie? — odparł plutonowy — Może na wypoczynek, może na inny front.

— Mówią — wtrącił się w rozmowę ordynans batalionu — że mamy iść do Karasina, zmienić pierwszą brygadę.

— E... — niechętnie przyjęli tą wiadomość.

— Dostaniemy po dwu latach wojowania odpoczynek! — zaśmiał się stary sierżant, komendant trenu, podkręcając obwisłe duże wąsiska spadające mu na żółtawą, dobrze rozrosłą brodę — Ale chyba po wojnie.

— No i cóż ułanie? — zwrócił się plutonowy do zamysłonego w rogu ziemianki ułana. — Nad czymże dumacie? Żal brata, to prawda, ale jeden los nas wszystkich. Zresztą wojna — to nie przelewki. Nie przybierajcie sobie dużo do głowy. Stało się i koniec!

— Rozumiem! — podnosząc się z siedzenia, zwrócił się do otoczenia ułan — Rozumiem wszystko; żal wprawdzie brata, ale niema znów tak wielkiej rozpacz, gdzieby pocieszenia znaleźć nie można.

— Słusznie! Słusznie! — rubasznie zauważył jeden z żołnierzy — Przydałaby się odrobina rumu na zmartwienie!

— Hej gramownik! — zwrócił się plutonowy do sierżanta prowiantowego, skulonego w drugim rogu ziemianki przy świecy nad rachunkami kompanii — Możeby tak kropieleczkę!

— Nie ma! — ostro prowiantowiec odpowiedział.

— A to co, pies? — zapytał plutonowy, pokazując ręką na kociółek żelazny.

— Jest, ale nie wolno! Tak rozkaz brzmi. Jedynie w ważnych wypadkach.

— A więc jest ważny wypadek.

— Jaki?

— Ano pogrzeb!

— A tak! — zauważyli chórem koledzy — jedno mamy gościa, drugie, że stypa winna być.

Prowiantowiec, ustępując przed krzykliwym protestem żołnierzy, wydzielił trochę historycznego płynu do manierki, wręczając manierkę najstarszemu rangą, mówiąc z patosem:

— Macie ścierwa, a nie mówcie, że przy Legionach był pies!

— A w cywilu czym? — zapytał gruby sierżant siódmej kompanii, cedząc powolnie, przez usta, słowo po słowie.

— Jakto czym?

— Ano — ciągnął dalej gruby sierżant, rozkładając ręce w powietrzu — jak ktoś przy wojsku pies, no to w cywilu czym?

— Ha... ha... ha... — zaśmiali się chórem ze brani — Ale gramownik gramownika nabiera.

— Tylko nie gramownik! — zwrócił uwagę sierżant — Bo rum odbiorę.

Wesoły nastrój zapanował w ziemiance, mimo, że pod wieczór coraz silniej poczęły bić baterie rosyjskie i spodziewano się nocnego alarmu.

— No, dziewiąta! — zwrócił uwagę plutonowy — Trzeba iść na patrol. Chłopcy, kto idzie, gotuj się! Zerwało się kilku za przykładem plutonowego i szybko poczęli się ubierać.

Ułan zmęczony i za zachętą ze strony kolegów, rozłożył się na twardych deskach, rozmawiając w zmniejszonym kółku o sprawie polskiej.

Myśl o Ojczyźnie nie opuszczała nigdy żołnierza polskiego. — Było to najświętszą Ideą duszy, nieustannym pragnieniem. Nic przeto dziwnego, że najmniejszy powiew, najślabsza pogłoska o wskrzeszeniu Ojczyzny, błyskawicą rozbiegała się po szeregach żołnierskich, urastając nierzadko w fakt już dokonany; określano termin wycofania Legionów z linii bojowej dla organizacji pierwszego korpusu armii polskiej. Domysły jednostek, szeptem do ucha bliskich powiedziane, po krótkim stosunkowo czasie stawały się rzekomym rozkazem najwyższej władzy, decydującej o Polsce.

Żołnierz polski, Legionista, walczył z wrogiem z dziwną gorączką w sercu; z gorączką każdej chwili mogącej nadejść niepodległości Ojczyzny.

Gdy mijał bez echa wyznaczony termin, rodziła się głucha beznadziejność, zniechęcenie, ale dość było, aby kilka słów z ust komendantów rzucanych wzniesło z powrotem entuzjazm, dość było rzucić kilka gorących słów, aby żołnierzy pociągnąć za sobą w najstraszniejszy bój, wskrzesić nadzieję i dodać hasła do wytrwania.

W szeregach żołnierskich wyrastał żelazny patryotyzm; jednostki, które wstępując do Legionów, nie rozumiały Sprawy, kształciły się patryotycznie, uczyły się kochać Ojczyznę, uczyły się historii polskiej i przeradzali się w przyszłych obywateli.

— Chciałbym dożyć tej chwili! — mówił do zebranych suchy, kościsty sierżant, z twarzą dziecka, o błyszczących gorączką chorobliwą oczach — kiedy krew naszych braci skruszy okowy Polski! Chciałbym dożyć tej chwili, kiedy cały naród zjednoczy się pod jednym sztandarem i Polska przemieni się w jeden obóz zbrojny!

— Ktoby nie chciał! — zauważył ułan — Ale ludzie nie rozumieją, że sprawa polska zależna jest od ilości bagnetów, że rozstrzygnie ją przelana krew. Ja sam wstępując do Legionów nie rozumiałem Sprawy. Podobał mi się mundur ułański, czerwone rabaty wabiły; wstąpiłem dla czerwonych rabatów...

— No i walczyście dla nich? — zauważył suchy sierżant.

— A tak! Jesteśmy żołnierze bez Ojczyzny! Walczymy dla czerwonych rabatów...

— Pocieszcie się — zauważył milczący dotychczas sierżant prowiantowy — Ze nie tylko my sami w takich myślach trwamy. Naród oczyszcza nas zwrócone.

Drzwi się z łoskotem otworzyły, energicznie wkroczył do ziemianki sierżant służbowy i komicznie przekręcając usta, zawołał:

— Alarm, ostre pogotowie z marsiami!

Naturalnie nikt się nie zrywał do zbiórki, gdyż wiedziiano, że sierżant służbowy żartuje, na alarm nie miałby tak wesołej szelmowskiej miny.

— Słyszycie, jak placówka wali! — zapalając papierosa, przemówił sierżant — No, będziecie widzieć, czy nie będzie alarmu!

— Może być, ale niema!

— Aha! Artyleria zaczyna robotę! — zauważył prowiantowiec.

Gdzieś pod lasem pękł szrapnel rosyjski, za nim poczęła iść silna kanonada; granaty przelatując ponad ziemiankami z świstem rozpruwały powietrze.

— Chodźmy na wzgórze — proponował sierżant służbowy — zobaczymy igrzyska.

Ze wzgórza widać było polankę, ciągnącą się do Wołczeka. Była tejże chwili pod bombardowaniem artylerii. Wraz z hukiem dział, pękały w górze szrapnele, błyszcząc w ciemnościach nocy, jak spadające z nieba meteory. Ciężkie pociski armatnie, ośmnastocentymetrowe granaty, wpadając w ziemię, wybuchały z ogromną siłą; wraz z słupem piachu, wznosił się ogień.

Ułan pozostał w ziemiance, wsłuchując się w odgłos detonacji pocisków, rozmyślał nad chwilą, którą przeżywa. Przed oczyma zjawiała się mogiła brata, prosta trumna żołnierska, którą w ostatniej chwili widząc, nie wiedział, że kryje ciało brata, przeszyte kulą moskiewską. Cisnące się do oczu łzy stłumił na powiekach, żałował, że zatrzymał się w lesie odpoczywając, przez co stracił możliwość zobaczenia poległego.

Późną już nocą wrócili koledzy z punktu obserwacyjnego; ziemianka zappełniła się gwarem, jednakże po chwili poukładali się przemęczeni żołnierze na spoczynek.

— Ułanie, śpicie? — zapytał sierżant.

— Nie! Nie mogę zasnąć!

— Szelmy Moskale nie dają spać! — zaśmiał się sierżant — Wy nie macie tak częstej muzyki, jak my, przeto sen od was ucieka.

— Nie przeszkadza mi to zupełnie — odrzekł ułan — mogą bić bezustannie! Ale pozostaję pod wrażeniem śmierci brata; nie mogę się jeszcze z tą myślą pogodzić!

— Czas leczy rany!

— Tak! Nie o mnie się rozchodzi! O matkę! Dla niej to będzie straszne!

— To prawda! Ale czyż śmierć nie czyha na człowieka od chwili istnienia? A przecież osłoda w tej boleści będzie to — że za Ojczyznę życie położył.

— Pójdziemy jutro na pozycję — zaproponował sierżant służbowy — zobaczycie naszą redutę!

— Owszem; chciałem zobaczyć miejsce, gdzie zginął brat! Może wojnę przeżyję, rodzinie zdam raport, aby im boleść osłodzić!

Beznadziejnie grzmiała pałba karabinów, od czasu do czasu zaryczały baterie artylerii rozłożone wzdłuż linii, ukryte w gąszczach lasu.

Nad linią błyszczały rakiety, przy których świetle placówki rosyjskie, dostrzeżone przez Legionistów były wstrzymywane i rozpraszane przez ogień karabinów.

W ziemiance uciszyło się zupełnie. Zmęczeni żołnierze, pogrążeni w śnie, wypoczywali na dzień następny.

Kładąc się do snu, niejeden rozmyślał nad tem, czy jutro się obudzi, czy podczas nocy nie wpadnie granat w ziemiankę i nie zamieni jej w mogiłę.

Ułan przycisnął do ust woreczek z piaskiem, westchnął głęboko i zapadł w sen.

Z rannym brzaskiem obudziła go wolna kanonada artylerii, krzyk kolegów wystających przed ziemiankami.

— Aeroplany! Aeroplany!

Zerwał się szybko, wybiegł z ziemianki, pytając kolegów o znaczenie tego zamieszania.

W górze nad nimi szybowały rosyjskie samoloty bombardowane przez ogień artylerii.

W okół statków powietrznych wznosiły się kłęby dymu, niebo laurów pokryło się mglistymi kłębami białawego dymu.

— Uciekać w las! — ktoś doradzał gorączkowo — Aeroplany musiały dostrzedz nas, rozpoczną rzucanie bomb.

— O, słyszycie — zauważył sierżant — leci bomba!

Preraźliwy świst dał się słyszeć w powietrzu, z hukiem eksplodowała rzucona bomba, wyrwijąc olbrzymią dziurę na małej polance, niedaleko rezerwy leżącej. Natychmiast po upadku bomby zbiegli się żołnierze dookoła miejsca upadku, szukając resztek bomby, metalowych jej części.

— Uwaga! Jedzie druga — rozległy się głosy.

— Czapki na głowy — zaśmiał się któryś z żołnierzy — bo mózg w niebezpieczeństwie.

Kanonada trwała przeszło dwie godziny, wreszcie spędzone aeroplany powróciły poza linię nieprzyjacielską.

— To tak codziennie — objaśniali ułan — mamy takie przyjemności. W każdy pogodny poranek koncert się rozpoczyna.

— No, dużo w tem urozmaicenia — zauważył ułan — macie dużo wrażeń, więcej jak my!

— Tak, wrażeń jest, tylko to wcale do przyjemności nie należy.

— No, teraz jazda na linię — dodał po chwili sierżant — zobaczycie naszą redutę, abyście wiedzieli, że my darmo chleba nie jemy.

— To się wie! — mruknął ułan — jedziemy zatem.

— Nie jedziemy, idziemy — zwrócił uwagę sierżant — koń musi pozostać! Nie da się konno dostać do pieszej linii!

Pod przewodnictwem sierżanta ruszył ułan z kilkoma kolegami, aby zobaczyć redutę, a właściwie miejsce wypadku z jego bratem.

— — — — —

Pod wieczór tegoż dnia ułan, pożegnawszy się z kolegami, powrócił do szwadronu.

(Dokończenie nastąpi).